

MISTYKA GÓR

Rozmowa z doc. Zdzisławem Rynem,
psychiatrą z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie.

„PRZEGLĄD TYGODNIOWY”: — W Himalajach potwierdziło się po raz kolejny, że alpinizm to nie zabawa.

ZDZISŁAW RYN: — I to potwierdziło się w sposób najtrudniejszy do przewidzenia, najmniej oczekiwany. Znam ludzi gór, sam do nich należę, prowadzę od lat różnorodne badania z zakresu medycyny alpinizmu i wydawało mi się, że prawie zawsze można przewidzieć stopień ryzyka. Na dowód opowiadałem ludziom o tym, jak to na początku mojej drogi, jeszcze w Afganistanie lat sześćdziesiątych, ułożyłem wraz z towarzyszymi wyprawę listę osób uszeregowanych według stopnia zagrożenia: kto z nas pierwszy zginie w górach. To był żart, zabawa dla urozmaicenia wieczoru, a jednak, proszę sobie wyobrazić, że gdy po kilkudziesięciu latach odnalazłem tę kartkę, okazało się, że koledzy zginęli dokładnie w kolejności „zaprogramowanej” na liście.

— **Fatum czy przenikliwość psychiatry?**

— Po prostu dowód na to, że badania psychologiczne i znajomość człowieka może z pewnym prawdopodobieństwem wskazać stopień zagrożenia. Co było moim kluczem? Stosunek do gór i wrażliwość na lęk. Ginę na ogół alpinści znieczuleni na przeżycie obiektywnego zagrożenia, którym stosunkowo łatwo przekroczyć granicę dopuszczalnego ryzyka. Również tacy, których próg pobudliwości emocjonalnej jest niski. Ci ludzie, chcąc uzyskać odpowiedni stan pobudzenia emocjonalnego, potrzebnego, by w ogóle odczuwać jakiś smak życia — sami na siebie sprządzają sytuacje zagrożeń. W tym jednak wypadku nie takiego nie zaszło: tragedii nikt nie przewidział zginęli ludzie, którzy nie byli ryzykantami.

— **Znał ich pan osobiście?**

— Zygmunta Andrzeja Heinricha i Eugeniusza Chrobaka, obu z Krakowa badałem jeszcze do mojej pracy doktorskiej i obserwowałem ich kariery od strony medycznej. Zawsze sprawiali wrażenie prawdziwych tygrysów gór. Wyglądało na to, że tak czują te góry, tak je znają, że im się nie dadzą przechytrzyć. Zginęli, mimo wielkiej pasji życia, życia na wysokich obrotach.

— **I nagle odczuliście prawdę wiersza ks. Jana Twardowskiego: „Spieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą zostaną**

interesuje. To góry są dla nich źródłem intensyfikacji przeżyć.

— **Zna pan słynną stroniczkę z II tomu „Buddenbrooków”? Tomasz Mann porównuje tam zwolenników morza z ludźmi gór. „Pewne, przekorne, szczęśliwe oczy, pełne przedsiębiorczego ducha, siły i radości życia — oto portret tych ostatnich — błędą od wierzchołka do wierzchołka; (...) Człowiek wdiera się śmiało w cudowną różnorodność zębatach, sterczących, przepaściowych zjawisk, by doświadczać swych sił żywotnych, których dotąd wcale nie użył”. Ładne, choć może za łatwe tłumaczenie, istoty alpinizmu.**

— **Dlaczego za łatwe? W „doświadczeniu sił żywotnych” wiele się mieści motywów. Także chęć zmierzenia się z pasmem udręki, jakim bywa wspinaczka z powodu bólu, pragnienia, odmrożeń, braku tlenu. Alpinizm jest także szczególną próbą zbliżenia się do krawędzi, uchylecia drzwi z napisem „tajemnica”.**

— **Pan już za te drzwi zaglądał?**

— **Powiedzmy prościej: miałem sporo perypetii, wszystkie w Andach. Raz to były straszliwe, huraganowe wiatry, prawie na granicy ludzkiej wytrzymałości: jeden z uczestników wyprawy doznał rozstroju nerwowego i musiał nas opuścić. Innym razem przytrafił mi się upadek po zboczu lodowca przy wejściu na Aconcagua; żyję, jak widać. Natomiast to, co może najmocniej mnie przejęło, to było doświadczenie epizodu samotności na andyjskim Altiplano. Tam po raz pierwszy i jedyny w życiu przeżyłem zjawisko, o którym mówiłem na niedawnym sympozjum lekarzy GOPR-u, w Zakopanem. To hipotermia, wychłodzenie. Otóż po nieplanowanym biwaku na niedużej — bo w końcu tylko 4400 metrów — wysokości, po nocy spędzonej na granicy snu i czuwania pod przysypaną śniegiem płachtą biwakową, miałem nad ranem iluzoryczne doznania. Słyszałem mianowicie rozmowy moich kolegów z wcześniejszej wyprawy**

— **Co psychiatra alpinizmu chce w tym zobaczyć?**

— **Głębę, z której czerpie meksykański kult dla śmierci w górach. Myślę, że tam bardziej wyraziście niż w naszej kulturze i w bardziej jawny sposób okazywane jest pragnienie, by umierać na szczytach, jeśli się jest alpinistą. Uważają to za coś naturalnego, zrozumiałego samo przez się. Pewien znany architekt i alpinista meksykański Miquel Angel polecił rodzinie, żonie, dzieciom i kolegom z klubu, że jeśli by zginął w górach, to życzy sobie, by jego prochy złożono w kraterze najwyższego wulkanu meksykańskiego w Pico Orizaba w stanie Vera Cruz. Istotnie zginął pod szczytem Popocatepetl i spełniono jego wolę. W małym puebło u stóp Pico Orizaba odbyła się najpierw msza przy prochach architekta złożonych w szklanej urnie, przy czym mówiono o nim jak o kimś żywym, zwyczajnie obecnym: on jest wśród nas, my z nim idziemy na tę wyprawę. Na szczycie Orizaby nastąpiło pożegnanie, nie mające nic wspólnego z rozstaniem. Do zobaczenia w świecie gór — mówiono i nie była to na pewno retoryka. Wreszcie jeden z uczestników ekspedycji asekurowany na linie z powodu silnego wiatru zsunął się do krateru i rozrzucał prochy Miquel Angela. Odbywało się to przy recytacji poezji indiańskiej, przy czym najbardziej przejmujący był „Boski wybór”: to góry dokonały tego wyboru wolając ludzi wspinających się bliżej nieba. Udział w tej ekspedycji to była moja pierwsza w Meksyku wyprawa i zarazem wstrząsające doświadczenie. Przekonałem się, że Meksykanie nie tylko oswoili śmierć. Oni także personifikują góry. To nie są twory geologiczne, to żywe istoty, z którymi się rozmawia, którym składa się ofiary, by nie karały wybuchami wulkanów. Jest w tym echo prekolumbijskich zwyczajów, wyraźne i jeszcze żywotne w obchodach święta Matki Boskiej z Guadelupy. Pięć tysięcy alpinistów wyrusza wtedy na pielgrzymkę wysokogórską, u celu wpadają w zbiorowy trans, życzą pokoju całemu światu i cieszą się swoją confraternidad — braterstwem ludzi gór. A skala oczywiście słyszy to i czuje.**

— **Nasz Spłący Rycerz też nie gorszy. Wprowadź na co dzień słodko drzemie, ale w Wigilię wyrusz do Krakowa. Kto wie, jakie rozkazy odbierze z Wawelu.**

— **To załędwie namiastka meksykańskiej żayłości z górami, ale pest! nie budźmy Giewontu; bo się jeszcze obrazi.**

— Przyjaciele z Klubu Wysokogórskiego przyszli na mszę żałobną. Patrzą — pełny kościół. A przecież nie było specjalnych zaproszeń. Słuchają, a tu ksiądz, też alpinista, cytuje św. Jana od Krzyża, który w swoich pismach porównał ludzkie życie do wspinaczki. No cóż... Musisz zawierzyć linie, tym zawodnym w końcu splotom włókna.

— Jeśli alpinizm jest sportem, to sportem najwyższego ryzyka. Niektórzy mają mu to za złe.

— Bo istotnie zagrożenie życia jest tu ogromne. Ale też w tym sporcie, jak w niewielu innych, heroizm jest wątkiem zasadniczym. Co nie zmienia faktu, że śmiertelność jest wśród alpinistów większa, niż w innych ryzykownych sportach: można powiedzieć, że każdy alpinista, który ma za sobą dwadzieścia lat wspinaczek stracił kilku albo kilkunastu kolegów, z którymi się wspinał, którzy wywodzili się z tego, co on, środowiska. Tak więc jest to niewątpliwie życie w atmosferze oswojenia się z myślą, że wszystko trwa jakby do czasu! w pewnym momencie skończy się tragedia.

— Co więc gna człowieka w jawne niebezpieczeństwo; jaka potrzeba psychologiczna każe mu iść w góry?

— Sami alpinisci nie bardzo to wiedzą. Na pewno jednak nie zaszukali na opinie, że alpinizm jest sportem samobójczym. Wśród wypadków samobójstw w górach, czym zajmują się od dłuższego czasu, nie spotkałem, przynajmniej w Tatrach, ani jednej samobójczej śmierci alpinisty. Mam na potwierdzenie tej opinii spory materiał empiryczny. Odbierają tam sobie życie wszyscy inni (w tym spora grupa lekarzy, i to warszawskich), ale nie alpinisci. Owszem, był wśród ofiar jeden ratownik górski, ale się okazało, że chory psychicznie. Natomiast w literaturze światowej znalazłem opis jedynie dwu udokumentowanych wypadków, gdzie alpinisci — a chodziło o dwu ekstrawaganckich Amerykanów uprawiających alpinizm solowy — specjalnie wybrali krańcowo trudną drogę, by z niej spaść i upozorować wypadek. W szpitalu ujawnili psychologom prawdziwe motywy: obaj mieli problemy z życiem osobistym. Tak więc nie przypisywałbym ludziom gór tendencji samobójczych, myślę, że już bardziej podejrzani są w tym względzie reprezentanci innych sportów, np. lotniarze. W badaniach psychologicznych, zwłaszcza przy zastosowaniu technik projekcyjnych, okazało się, że u nich skryte pragnienie śmierci wyraźnie się zaznacza.

— Ukryte, to znaczy przez nich samych nie uświadomione?

— Tak, ale są techniki, dzięki którym ujawnia się to, co w głębi... U lotniarzy poziom nie uświadomionych tendencji autodestrukcyjnych jest na tyle wysoki, że można powiedzieć: to jest sport ocierający się zaskakująco na nazwę sportu samobójczego. Natomiast alpinisci pasjonują się życiem i to życiem szczególnie, ponadprzeciętnie intensywnym. Inne życie ich nie



ZDZISŁAW RYN: — Człowiek w samotności, odcięty od wyprawy słyszy głosy jej uczestników.

Fot. ARCHIWUM

(wśród nich głos żony), którzy ni to się troszczyli o to, czy ją przeżyje, czy wyjdzie z tej krytycznej sytuacji, ni to kpili i żartowali, że przy swoim doświadczeniu wpakowałem się w taką kabałę. Cała ta noc skończyła się dość śmiesznie, bo kiedy wygrzebałem się spod śniegu, spod płachty, w rannych mgłach, które się tam rozsnuwały zobaczyłem scenę jak z pocztówki: wioseczkę w oddali, dym unoszący się nad dachami. Pomyślałem, że mam halucynacje wzrokowe i przerażiłem się...

— Ale to była prawda? No przecież prawda, skoro możemy rozmawiać. Czy słysząc „głosy” kolegów miał pan świadomość ślady?

— Nie, miałem wręcz pewność autentyczności. To jest ciekawe w stanach hipotermii, że treść stworzonych przez nią doznań jest życzliwa. Głodny człowiek halucynuje jedzenie i bodźce z jedzeniem związane; ten, który zamarza — widzi ognisko i ciepły kominek, jak dziewczynka z zapalnikami w bajce Andersena; zaś człowiek w samotności, odcięty od wyprawy słyszy głosy jej uczestników, widzi kolejkę linową, która przyjeżdża, by go uwolnić z lodowcowej szczeliny. To bardzo charakterystyczne i powszechne doznania alpinistów, których życie jest zagrożone...

— I znowu wyszliśmy na spotkanie śmierci. Jak ją traktują alpinisci Meksyku? Jak się z nią godzą? Wiem, że był pan w Meksyku przez ostatni rok i przywiózł pan stamtąd wiele obserwacji na temat magli, grzybów halucynogennych i tamtejszej obyczajowości.

— Tam w towarzystwie śmierci i umiarkowania żyje się za pan brat, od dziecka. Zwyczaje i obrzędy związane z umiarkowaniem człowieka są tam niezwykle barwne i bogate. Obok bratania się ze śmiercią obserwujemy próby oswojenia jej przez ośmieszenie, kpinę, żart. Tam w Meksyku w dniu Wszystkich Świętych rodzice wręczają swemu potomstwu calaveras, małe czaszeczki z cukru lub czekolady z wypisanymi na nich imionami dzieci; one to zjadają, żartując z własnego kościotrupa.

— Opowiadanie o pożeganiu Miquel Angela w kraterze wulkanu nasunęło mojej pamięci sceny z niektórych filmów Krzysztofa Zanussi, a szczególnie ze „Spirali”: jej ciężko chory bohater nie chciał konać w klinice, a gdy mu udaremniło rozstanie z życiem w górach popieszył tam mocą pragnienia, silniejszego od śmierci.

— Jestem przekonany, że ten motyw również u polskich alpinistów jest głębszy, niżby z pozorów wynikało. O nim się jednak nie mówi, czy to ze wstydu, czy też z powodu innych zahamowań. Ale oni po cichu wszyscy uważają, że jeśli alpinista ginie w górach, to już nie może być dla niego śmierci piękniejszej. Przypomniałbym tutaj doznanie Reinholda Messnera, który w wyciągu kolekcjonowania wszystkich czterech ośmiotysięczników wygranym z naszym Jerzym Kukuczka jasno pisze w pamiętnikach i wspomnieniach, że niejednokrotnie miał nieprzepartą potrzebę zostania na szczycie i musiał zdobyć się na nie lada wysiłek, by ruszyć w stronę powrotną. Oto stosowny fragment. Może pani głośno przeczytać?

— Proszę bardzo. „Na samym szczycie przeżywałem uczucie wyzwolenia wypełniające cały mój byt. Tam na wysokości ponad 8 tysięcy metrów nad poziomem morza człowiek jest całkowicie odcięty od reszty świata i tak samotny, jak nigdzie indziej. Fakt, że w obszarze graniczącym ze strefą śmierci prawie nigdy nie odczuwa się strachu, że otwierają się tam nowe rejony świadomości, jest bodaj jednym z najważniejszych bodźców popychających do wysokogórskiej wspinaczki. Alpinista dostaje się w środek promienistego źródła...”

— Czy wie pani, co on opisuje? Stan ekstazy. Doznanie absolutnego szczęścia i absolutnej wolności, będące niekiedy darem górskiego szczytu. Czy można się dziwić, że istnieją ludzie, dla których te doznania są ważniejsze od życia? Oni też mają prawo do własnej hierarchii wartości, choć komuś z boku może się ona wydawać irracjonalna; Zawsze staram się uczyć moich słuchaczy zrozumienia dla inności, zwłaszcza, jeśli ta inność nie zakłóca porządku społecznego, życia i bytu innych ludzi.

— Mam wątpliwości, czy nie zakłóca. Zostały przecież rodziny.

— Ocalał też Andrzej Marciniak, jedyny, który przeżył katastrofę. Może po powrocie wyjaśni, dlaczego w tym, a nie w innym miejscu założono obóz. Chociaż, według opinii Jurka Wali, świetnego topografa i kartografa Himalajów, rozkład jazdy lawin zawsze omijał to miejsce.

— Czy ci, którzy zginęli byli na tamtej liście, którą pan układał w Afganistanie?

— Nie, żaden z nich. Ta śmierć przeczy dosłownie wszystkiemu. A jednak pozostaje znakiem afirmacji.

Rozmawiała
EWA OWSIANY